

To nieprawda, że nie ma cenzury!

16 października 2018

Pozory mylą. A żyjemy w czasach, w których potęga pozorów osiągnęła nieznane w dziejach rozmiary (głównie dzięki telewizji). Wypaczają one rzeczywistość niebywale. Do takich pozorów należy mniemanie, że bardzo ważnym elementem kultury, a mianowicie książkami i prasą, steruje ministerstwo kultury i różne jego agendy. Albo, że tę sferę określają wydawnictwa, albo że sami twórcy mają tu dużo do powiedzenia. Pozornie wydaje się również, że skoro książki i prasa są produktami handlowymi, to rządzi nimi tzw. niewidzialna ręka rynku. Już dawno natomiast dowiedziono, że owa niewidzialna ręka, to po prostu łapa gigantów, banksterów, korporacji, które manipulują rynkiem według swoich interesów. I to nie tylko finansowych, ale również i coraz bardziej – światopoglądowych. Złudne jest również mniemanie, że głos czytelników jest decydujący. Otóż wszystkie te opinie są bardzo błędne, a ostatnia, o roli czytelnika, jest szczególnie fałszywa i tym samym szkodliwa.

Gdy w czasach PRL-u mówiliśmy, że to cenzura rządzi książkami i prasą (choć oczywiście nie tylko nimi, ale w tym artykule koncentrujemy się na nich), łącznie z ich zawartością, nikt poza niektórymi partyjnymi propagandystami nie protestował; to była rzecz rozpoznana i oficjalna. Cenzura się nie kryła. Miała świetną organizację, jej siatka pokrywała dokładnie cały kraj. Miała swoje gmachy, na których przybijano czerwone tablice z białym, złowieszczym, ale i szczerym napisem „Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk”. Miała swoje duże biura, każda codzienna gazeta posiadała własnych delegatów tegoż Urzędu, którzy i w dzień, i w nocy czytali każde słowo, które nazajutrz miało dotrzeć (lub nie) do ludu. W pancernych szafach piętrzyły się teczki z zapisami, co i kogo wolno publikować, a co i kogo nie; ten zbiór był zresztą skrupulatnie na bieżąco aktualizowany.

Tamta cenzura miała jednak jeden plus. Ponieważ była przewencyjna, nie narażała wydawców na koszty. Żeby cokolwiek wydać, wydrukować, trzeba było mieć najpierw zgodę urzędu cenzorskiego na... przydział papieru. Drukarnie nie mogły przyjąć żadnego zlecenia bez bumagi z pieczęcią UKPPiW, który wyznaczał także, ile tego papieru przyznaje, o ile przyznawał, ma się rozumieć określając tym samym nakłady. (...)

Czy teraz jest inaczej? Oczywiście, pytanie retoryczne, wiadomo, że jest inaczej. Nikt nie limituje papieru, wprost przeciwnie: drukuj – i rzecz jasna płać – jak najwięcej! Możesz ten papier zadrukować czym chcesz, bo na tym etapie nikogo to jeszcze nie obchodzi. Tak więc – jest inaczej. Ale nie do końca. Nie można bowiem niestety powiedzieć, że cenzury nie ma. Jest, choć inna, bardziej podstępna, ukryta właśnie za pozorami, bez czerwonych tablic UKPPiW.

Jest to cenzura dystrybucyjna.

Jeszcze jakieś dziesięć lat temu, była ona dość słaba, choć mocno rozwojowa. Teraz stała się już bezwzględna. I bardzo skuteczna. Jej metodę można krótko określić tak: wydawco wydaj sobie, drukuj, co chcesz i ile chcesz, a my ci tego i tak nie wyeksponujemy, nie rozpowszechnimy, po prostu nie sprzedamy! A jeśli nawet coś z twoich publikacji się rozejdzie, to w śladowej ilości.

Zwykły czytelnik (a do nich należą także przedstawiciele władzy) nie zdaje sobie sprawy z tego, że wydawanie książek i prasy jest działalnością zupełnie odrębną od dystrybucji, że te dwie działalności mogą nawet być sobie przeciwstawne. Dystrybucja została w jeszcze większym stopniu niż same wydawnictwa i redakcje opanowana przez przeciwników obecnej, wywodzącej się z obozu patriotycznego, władzy. Ci przeciwnicy dystrybucyjni obozu patriotycznego, tak samo jak i inni, to zarazem zwolennicy wszelkich lewackich pomysłów na urządzenie świata.

Zwykły czytelnik także nie zdaje sobie sprawy z tego, jak potężne możliwości posiada dziś dystrybucja, jak kształtuje ona rynek mediowy, a poprzez niego również ludzkie poglądy i upodobania. Rzecz jasna nie dotyczy to tylko książek i prasy, ale w tym artykule pozostajemy przy tym temacie. Można dziś, przynajmniej w Polsce, śmiało mówić nawet o wojnie między wieloma gospodarczymi podmiotami wydawniczymi a niewieloma podmiotami dystrybucyjnymi. Niewieloma, ponieważ bardzo mało podmiotów dystrybucyjnych pozostało w rynkowej grze. Dużi stali się z czasem bardzo duży, wykaszając mniejszych głównie nieuczciwą walką cenową, czemu przyklaskiwały początkowo media wszelkich orientacji zafascynowane pozorem, który nazywano wolną grą rynkową.

Jeszcze 10-15 lat temu królowała idea tzw. konsolidacji. To było święte pojęcie, kto mu się przeciwstawiał, zostawał automatycznie mianowany wstecznikiem, nic nie rozumiał z nowoczesnej ekonomii. Przecież konsolidacja miała przede wszystkim za zadanie minimalizować koszty! Koszty faktycznie malały i to znacznie. Ale nie klientom, jak przypuszczali naiwni, tylko nowym molochom, których zyski zaczęły pięknie rosnać. Mrzonką okazywało się mniemanie, że zmniejszenie kosztów dystrybutora zaowocuje mniejszymi cenami jego usług. Stawało się dokładnie odwrotnie. Żądania coraz większych rabatów zdawały się nie mieć granic, płatności dla wydawców wydłużały się do pół roku, do roku, albo dłużej... Albo wcale nie płacono, albo tylko częściowo... Dla niektórych wydawnictw było to wyniszczające od razu, dla innych z czasem.

Rynek dystrybucyjny przekształcił się z rynku klienta, w rynek usługodawcy i to rynek bardzo nie fair. Stało się tak dlatego, że mała, de facto bardzo niewystarczająca liczba dystrybutorów, zlikwidowała w praktyce konkurencję między nimi i mogli oni (i mogą dalej) dyktować mordercze warunki wydawcom książek i prasy. Skoro mogli, to natychmiast zaczęli to robić (i robią dalej). Niekoniecznie jednak wszystkim stawiano drastyczne warunki. Kiedy bowiem dystrybutor miał do czynienia

z całym koncernem medialnym, np. Springerem czy Bauerem, to szedł na ustępstwa w wielu aspektach. Zaczęły też coraz więcej znaczyć nie tylko względy czysto ekonomiczne, ale do głosu doszły opcje światopoglądowe i polityczne, a w końcu nawet narodowe, z minimalną wszakże opcją korzystną dla narodu polskiego – co z czasem przestano nawet kamuflować. Za rządów koalicji PO-PSL doszło do konsolidacji nowej generacji: wielkich dystrybutorów z władzą. (...) Władza ta nie była, jak powszechnie wiadomo, niewdzięczna dla swoich. Ba! roztaczała nad nimi parasol ochronny choćby nie wiem, co się działo.

Wiele jest sztuczek dystrybucyjnych, nie moment by je tu teraz dokładnie opisywać, które pozwalają dobrze sprzedać nawet bardzo marny towar, a produkty porządne i uczciwe zwrócić w całości klientowi z krótkim komentarzem: „nie sprzedało się”, bo zadziałała żelazna ręka rynku. To, że żaden klient danej książki czy gazety w punktach sprzedaży nie mógł nawet dostrzec, nie mówiąc o jakiejś informacji o nich, to też było działanie żelaznej ręki. Ale nie ręki rynku, tylko dystrybutora, który będąc zblatowany np. z hasającymi dowolnie po Polsce niemieckimi koncernami lub z Agorą, nie miał zamiaru robić im przykrości i kłaść na widocznym miejscu polskie nie tylko z nazwy i języka czasopisma lub książki. Nie w jego interesie była i jest walka o suwerenność i podmiotowość III RP.

Chore jest mniemanie, że sprzedawca będzie sprzedawał wszystko, na czym może zarobić. Owszem, tak było na początku transformacji, może jeszcze nawet kilkanaście lat temu, ale na pewno nie teraz. Ci, którzy pozostali na rynku, dawno już swoje zarobili i teraz kierują się innym priorytetami. Tym bardziej, że przecież nie jest tak, że przez to nie zarabiają; mogąc dowolnie dyktować warunki handlowe, więc nie są zagrożeni żadną upadłością. No, chyba, że sterowaną w celu uniknięcia zaspokojenia wierzycieli – takich gagatków było niemało i nadal się pojawiają, jak choćby ostatnio jeszcze do niedawna potężna firma Ruch. Albo roku temu sieć Matrasa.

Reżyserowane upadłości, nieraz spektakularne, to polska specjalność, czemu sprzyja także marne prawo w tym zakresie.

Nie działało się tak od razu. Opanowano dystrybucję najpierw organizacyjnie, gospodarczo, potem dopiero ideowo i politycznie. (...) Dystrybutor wywiera wielką presję na niską cenę, ale nie swoim kosztem, lecz tylko wydawców i autorów. Mołochom wystarczą bowiem jeden, dwa procenty zarobku na egzemplarzu, bo mają setki możliwości zarabiania inaczej. Nie ponoszą przy tym żadnego ryzyka, żądają bowiem 100 proc. prawa zwrotu! To jeszcze nie wszystko – za zwroty też trzeba im płacić prowizję i to wysoką! To dotyczy tak książek, jak i prasy. To jest nienormalne, to powinno być dawno zabronione ustawowo. Mam duże pretensje, tak samo zresztą, jak i wielu innych z obozu patriotycznego, do nowej, naszej!, władzy, zwłaszcza tej od kultury, że kompletnie nic nie robi, aby uzdrowić sytuację, co na początku można uczynić przecież bezkosztowo, samym ustawodawstwem.

Ponieważ cena produkcji książek, tak jak i prasy, co roku jest wyższa (np. co roku drożeje papier), to różnica jaka pozostaje w kieszeni wydawcy po odjęciu od ceny detalicznej coraz większych rabatów – drastycznie maleje. (...) Zbijanie cen oraz podnoszenie rabatów (ale nie wszystkim!) powoduje, że opłacalne stają się tylko produkty prymitywne, wysokonakładowe i zarazem tanie w produkcji, słowem – badziewie. Tanioccha edytorska i merytoryczna. Na książki i czasopisma wartościowe już mało kto z wydawców się decyduje, bo nie osiągają one większych nakładów. Tym sposobem bez odpowiedniej ilości tytułów wartościowych mamy do czynienia tylko z rynkiem prostackiej albo i zboczonej rozrywki, a nie z działalnością kulturalną i oświatową.

* * *

Nikommu nie są potrzebne akcje typu „cała Polska czyta”, to hipokryzja. Bo cała Polska nie czyta. 62 proc. dorosłych obywateli nie przeczytało w ciągu roku choćby jednej książki!

Pytanie jednak dlaczego? Czy dlatego, że Polacy są matołkami, jak sugerują mass media? Zastanawiające, że nie chce się dostrzec ewidentnej zależności, występującej zresztą wszędzie, nie tylko w Polsce: spada ilość punktów sprzedaży (kiosków, księgarń), więc równolegle spada sprzedaż czasopism i książek, a w konsekwencji podupada czytelnictwo. Sytuacja kulturalno-gospodarcza w Polsce jest tego rodzaju, że np. w samym tylko Krakowie jest 2,5 tys. sklepów z alkoholem, a w całej Polsce nie ma już nawet tysiąca prawdziwych księgarń. To są dane, w które trudno uwierzyć, ale są niestety prawdziwe.

Księgarnie niezależne likwiduje się w Polsce od lat w ramach likwidacji niezależności Polaków. Teraz, w konsekwencji, rozpoczął się gwałtowny proces doprowadzania do upadku niezależnych wydawców. Wszystko wchłoną zagraniczne mołochy. (...)

Przejdźmy jeszcze na chwilę do rynku książki. Kolejnym pozorem jest twierdzenie, że internet zastąpi księgarnie. Jeśli tak, to dlaczego sprzedaż książek od lat maleje, choć internet się rozwija? Internet też został zmonopolizowany, sprowadzony do paru podmiotów. Liczą się tam tylko nowości, taniocha, prymitywne i szkodliwe treści. Stał się dumpingową konkurencją. Sprzedaż wartościowej książki przez internet stanowi margines. W cywilizowanym świecie nikt nie zakładał jednak, że internet zastąpi księgarnie, ale że je uzupełni, wzbogaci sprzedaż książki. I tak się stało. Za granicą. W Polsce wciąż dominują pozory.

A proszę mi powiedzieć, który turysta czy pielgrzym przybywszy do Polski będzie szukał książek o naszym kraju w internecie i prosił o ich wysyłkę? Żaden. Miliony turystów nie mają gdzie kupować książek, bo nie ma księgarń i księgarenek; nawet na Szlaku Królewskim w podwawelskim grodzie zniknęły. Przybyło tam zaś pubów i innych knajp oraz burdeli. Nie znam danych na ten temat, nie słyszałem by w ogóle istniały, ale z moich wieloletnich obserwacji prowadzonych z pozycji Krakowa, miasta turystów i pielgrzymów, oceniam, że w tym segmencie spadek

sprzedaży wyniósł co najmniej 80 proc. Jakże tym samym osłabiona została promocja Polski, jej pozytywny wizerunek!

Pozorem było i jest również twierdzenie, że prasa drukowana zniknie, że zastąpi ją właśnie internet. Owszem nakłady trochę zmalały, lecz tendencja spadkowa na Zachodzie została dawno powstrzymana, wydania internetowe stały się zaś uzupełnieniem drukowanych, a nie ich następcami. Kto ma wątpliwości nie popatrzy na statystyki i nakłady np. w Niemczech. To wszystko oznacza, że również pozycja dystrybutorów wcale nie osłabła.

* * *

Wiadomość, że Ruch upada, razem z informacją, że prezes tej firmy brał miesięcznie 350 tys. pensji, przedostała się do szerokiej opinii publicznej kilkanaście dni temu; ludzie z branży wiedzieli o tym już dłużej. Dlaczego jednak nie interesowało to ludzi odpowiedzialnych za te sprawy w rządzie? Wiedzieli o tym. Dlaczego ich to dalej nie interesuje? Czy tam nadal królują bzdury o niewidzialnej ręce rynku oraz o tym, że „Polacy nie czytają”? Czy ci ludzie na pewno mają pojęcie czym zarządzają?

Parę dni temu odbył się zjazd Klubów „Gazety Polskiej”, gdzie podjęto ten temat w sposób dość nerwowy, stawiając władzy poważne zarzuty, co naprawdę nie może dziwić. Tym bardziej, że Ruch bankrutując dołącza wielu wydawców – od miesięcy im nie płaci. Wyborcza za bardzo się tym nie przejmuje, ponieważ przenosi swą sprzedaż do... No, zgadnijcie gdzie? Do spółki skarbu państwa, do Poczty Polskiej SA, która dysponuje ok. 4 tys. punktów sprzedaży. Zresztą im w razie czego Soros dopłaci. Bauerowi i Springerowi dopłacą firmy-matki zza Odry i tamtejsze państwowe fundusze medialne. Kto nam dopłaci? (...)

Środowisko wydawnicze, ale i czytelnicy prasy polskiej, domagają się od państwa, by przyjęło rolę operatora sprzedaży przynajmniej do czasu unormowania sytuacji. Tym bardziej, że dystrybucja to nie jest powszechne obecnie rozdawnictwo

publicznego grosza, ale biznes – o ile jest fachowo i uczciwie prowadzony. Należy też zapytać, dlaczego Poczta Polska nie zorganizuje zdrowego systemu prenumeraty – na Zachodzie w ten sposób jest sprzedawane co najmniej 80% gazet i czasopism – ze stosownymi preferencjami, bowiem obecnie wysyłka czasopism jest droższa niż ich druk razem z papierem! Pomysł Poczty na poprawienie sobie bilansu to permanentne podwyżki cen (ostatnia na początku tego roku) za usługi; firma ta zachowuje się tak samo, jak opisywani tu dystrybutorzy. Same kioski nie wystarczą do zaspokojenia potrzeb ogólnopolskiego kolportażu, nie mówiąc o tym, że powszechna prenumerata byłaby naturalną obroną przed manipulacjami dystrybucyjnymi i tym samym przed dystrybucyjną cenzurą.

W przypadku normowania dystrybucji nie chodzi o to, żeby komuś coś zabierać, żeby się konfrontować z przepisami unijnymi, ale po prostu o wprowadzenie uczciwych zasad w tej potężnej grze. Kto ma to zrobić, jak nie państwo? Dlaczego państwo nie stworzy konkurencji monopolom? Dlaczego nie przejęło np. „Ruchu”, wcześniej „Matrasa”, a jeszcze wcześniej „NC+” (czyli TVN)? Lekką ręką daje się np. 100 mln na renowację byle cementarza (oczywiście nie polskiego), ale na uzbrojenie się na rynku mediowym nie ma ani grosza. Dla mnie to wygląda jak działanie piątej kolumny. Nie zapominajmy przy tym, że ci, którzy nie pochodzą z układu okrągłostołowego do dziś nie mają szans na prawdziwą rywalizację i bez pomocy państwa nigdy się nie rozwiną. Nieraz już pisałem, że chodzi o pomoc zwrotną, nie o jałmużny

Media są nie tylko dla polityków, ale dla narodu, dla zdrowego światopoglądu, moralności, oświaty, kultury itd. W cyklu artykułów na ten temat staram się wykazać ich powiązania ze światem reklamy, polityki, wykazać jak zagraniczne koncerny mediowe, ale i reklamowe, nie tylko czyszczą rynek z polskich podmiotów, ale drenują polskie kieszenie w miliardowej skali. To jednak nie wszystko, bowiem zmowy z dystrybucją są jeszcze bardziej szkodliwe. Mówi się, że media są czwartą władzą. Bez

dystrybucji jednak stają się niczym. Kto ma dystrybucję, ten ma władzę.

Autorstwo: Leszek Sosnowski

Źródła: Swiato-Podglad.pl, „Wpis” nr 9/2018